ARCHIWUM
Mirosława
Dereckiego

Mirosław Darecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: PERYPETIE KOCHANKÓW POP-MUSIC

Dzisiaj technika filmowa zaszła tak daleko, a wiedza o kinie tak szerokie zatacza kręgi, że dajcie amatorowi dobrą kamerę, czułą taśmę oraz mniej więcej logiczny scenariusz, a z pomocą doświadczonych aktorów i zręcznego montażysty zrobi on całkiem możliwy do oglądania film. Związana jest z tym wszystkim również odwrotna strona medalu: coraz trudniej, wychowanemu na dobrych filmach widzowi proponować, efektownie opakowaną tandetę. Nic więc dziwnego, że - wbrew nadziejom dystrybutorów - taki na przykład szwedzko-australijski film „Abba" wcale nie stał się u nas sukcesem, chociaż reprezentował modny wśród młodzieży gatunek „disco" i dotyczył tak bardzo jeszcze do niedawna popularnego muzyczno-wokalnego zespołu, którego przebój „Waterloo" stał się na długo światowym „hitem". Tak samo pewnie będzie z amerykańskimi „Narodzinami gwiazdy" Franka Piersona – z piosenkarką Barbrą Streisand oraz słynnym Krisem Kristoffersonem w rolach głównych - filmem, który właśnie ostatnio wszedł na nasze ekrany. „Abbę" i „Narodziny gwiazdy", choć odwołują się one do różnych filmowych konwencji stylistycznych i sięgają do różnych odmian pop-music, łączy jedno: obydwa są filmami słabymi i w gruncie rzeczy nudnymi, mimo że prezentuje szeregu skądinąd efektownych i lubianych przebojów. W dodatku nie są one u nas wsparte „zapleczem" w postaci rzuconych równocześnie na rynek płyt i kaset z nagraniami przebojów. A z drugiej strony nie ma u nas setek tysięcy mniej lub więcej rozentuzjazmowanych i rozhisteryzowanych kilkunastoletnich „fanów", będących głównymi odbiorcami takich właśnie filmów jak „Abba" czy „Gorączka sobotniej nocy" Johna Badhama z głośnym Johnom Travoltą.

Kiedy Richard Luster postanowił nakręcić film muzyczny o słynnej wówczas „Czwórce z Liverpoolu", której twórczość miała się odbić tak szerokim echem wśród współczesnej młodzieży, a która już wtedy kazała socjologom zwrócić baczną uwagę na ów fenomen popularności, rozejrzał się przede wszystkim za odpowiednią formułą, jaka pozwoliłaby mu pokazać na ekranie coś więcej niż tylko przegląd piosenek Johna Lenona, Paula McCartneya i jego kolegów. „The Beatles" otrzymał ostatecznie kształt bardzo specyficznej komedii muzycznej z mocnym akcentem na socjologiczną i psychologiczną obserwację zjawiska jakim byli Beatlesi. I w tym właśnie tkwiła jedna z wielkich zalet tego filmu. „The Beatles"

posiadał swoją własną , niezależną od sławnego zespołu, osobowość artystyczną, był na swój sposób filmem ambitnym i odkrywczym.

„Abba”, nakręcona przez młodego szwedzkiego reżysera Lasse Hallströma w znacznej mierze podczas tournée zespołu po Australii, mogłaby być filmem interesującym już choćby przez pokazanie samego tylko zderzenia dwóch kultur, dwóch światów, różnych sposobów reagowania Europejczyków i Australijczyków na te same piosenki. Niestety „Abba” stała się po prostu kolejną, dwugodzinną „reklamówką” znanego zespołu. Doskonała kamera, niezwykle czuła taśma i zręczność samego operatora pod względem plastycznym: to znaczy scen z występów grupy „Abba” na efektownych stadionach miast australijskich. Bez wątpienia atrakcyjna jest również eksponowana wciąż na ekranie i w komentarzu słownym „pupa” Agnethy Fältskog, ale to wszystko połączone prymitywną historyjką o młodym dziennikarzu radiowym podążającym za zespołem z nadzieją uzyskania wywiadu, nie wystarcza na zrobienie interesującego filmu. Jedyna ciekawa obserwacja – kręcone „ na żywo” sceny z ledwie odrosłymi od ziemi maluchami rozprawiającymi z całą powagą na temat „seksowności” poszczególnych członków zespołu – została szybko zagubiona w nawale miałkich „wywiadów” i „rozmów” niefortunnego filmowego dziennikarza i radiowca z tzw. zwykłymi przechodniami ulicznymi. Taki film jak „Abba” może by się dobrze sprawdził wyświetlany po kawałku w dyskotekach, ale na ekranie kinowym nudzi i nuży.

Nikt nie odmawia piosenkarskiego talentu Barbrze Streisand, co więcej, jest ona utalentowaną aktorką: ma swoich zwolenników talent Krisa Kristoffersona, ale dlaczego zaraz aplikować widowni tych dwoje w mdłej, ciągnącej się jak guma do żucia fabule utkanej efektownymi, to prawda, popisami wokalnymi? Dwie godziny obcowania na ekranie z kochankami pop-music przeżywającymi miłosno-frustracyjno-alienacyjne perypetie, tak jak to pokazał reżyser Frank Pierson, to stanowczo za dużo jak na wytrzymałość nawet nieprzeciętnego miłośnika piosenki. Reklamuje się ową „głośną hollywoodzką produkcję firmowaną przez (...) Barbrę Streisand” jako „dzieje burzliwej miłości i małżeństwa wybijającej się piosenkarki i gwiazdora rocka”. Zgoda. Temat nawet całkiem niezły, choć w sztuce stary jak świat: gdy jeden artysta - wznosi się na wyżyny sławy, w tym samym czaje jego współmałżonek przeżywa głęboki kryzys artystyczny. Tylko dlaczego pokazywać to w sposób tak strasznie banalny, oklepany i schematyczny? Jedna jedyna sekwencja tego filmu, z wielkim nerwem pokazująca występ rockowego idola dla pięćdziesięciu tysięcy zgromadzonych na gigantycznym stadionie „fanów”, nie zrekompensuje późniejszej nudy „burzliwej miłości”.

Pal sześć „Abbę”, przeżyliśmy szwedzki potop, a w końcu zresztą lubimy zespół występujący pod tym imieniem. Ale niech mi ktoś odpowie, po co sprowadzamy filmy trzeciorzędowe, w rodzaju „Narodzin gwiazdy”? I można się tylko pocieszyć, że wchodzący

w lutym na ekrany także muzyczne „New York, New York” Martina Scorsese’a z Lisą Minelli i Robertem de Niro nie zawiedzie naszych oczekiwań.

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 4, s. 14.